

KRONIKA PARYŻKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Apostołowie” przez Ernesta Renan. — „Klasztory Benedyktynów we Włoszech” przez pana Dantier — „Podróż do Włoch” professora Taine: portret autora, jego kurs estetyki w szkole sztuk pięknych. — „Szekspir” professora Mézières. — „Geografia XIX wieku” przez pana Cahun. — Wiadomości literackie.

Ernest Renan wydał dzieło ukończone zeszłej jesieni w Ziemii Świętej. „Apostołowie” są dalszym ciągiem jego „Życia Chrystusa”, którego dwunasta edycja już wyczerpana. Autor podejmuje dzieje chrześcijaństwa tam, gdzie je zostawił, zaczyna dalsze opowiadanie od Wielkiej Soboty 4 kwietnia roku 33.

Po tej dacie następują lata najważniejsze w historii świata. Święty ogień który Chrystus w sercach uczni swoich zapalił, tworzy ważne ustawy i przeobraża dusze. Renan wykazuje, jak pod tym ciągle zwyciężkim wpływem ukrzyżowania, zrodziła się wiara w Zmartwychwstanie, w Ducha Świętego i władzę kościoła. Następnie opisuje organizację kościoła jerozolimskiego i najdawniejsze jego posłannictwa; idzie za chrześcijaństwem trop w trop przez Syryę aż do Antyochii. W tém ognisku gdzie większość tworzą nawróceni poganie, chrześcijaństwo odłącza się ostatecznie od Judaizmu i nazwę otrzymuje.

W chwili rozpoczęcia misyj apostołskich, Renan przedstawia świat, który odważni apostołowie przedsięwzięli nawrócić; kreśli uczenie stan umysłowy, polityczny, moralny i religijny Państwa Rzymskiego około roku 45 naszej ery, prawdopodobnej daty wyjazdu św. Pawła na pierwszą misję.

„Apostołowie” są wystawą pierwszego okresu wspólnego działania stworzonej przez Chrystusa rodziny.

W przyszłym zapowiadzanym tomie, Renan wyjdzie z tego koła i ukaże działanie człowieka, który najlepiej wyobraża chrześcijaństwo podbijający: ukaże działanie św. Pawła. Jestto pracownik drugiej godziny, nie należący do *dwunastu*: Paweł nigdy nie widział Chrystusa, nie doznał Jego boskiego wpływu, a mimo to grał rolę najważniejszą w zaprowadzeniu chrześcijaństwa, co zdaniem Renana, najlepiej wrodzonej wielkości jego dowodzi. Będzie to praca czysto historyczna: dzieje Pawła napisać łatwo, bo są jego bardzo dokładne pamiętniki.

Do „*Apostolów*” Renan miał bardzo mało dokumentów, jak twierdzi. Pierwsze rozdziały *Aktów Apostolskich* były prawie jedynym jego źródłem; listy św. Pawła same jedne rozświeciły mu ciemności owego okresu. Dyktowane od 53 do 62 roku, listy te pełne są szczegółów odnoszących się do pierwszych lat chrześcijaństwa. *List do Galatów* Renan uważa mianowicie jako skarb, podstawę wszelkiej chronologii owego wieku, za klucz otwierający wszystko, za świadectwo mogące zaspokoić najmniej wierzących o rzeczywistości rzeczy o której powątpiewają. Renan ostrzega jednak, że chronologią tych lat tylko w przybliżeniu brać należy. W historyi jak ta, powiada, gdzie tylko całość jest pewna, hipoteza staje się nieuchronną i zupełnie prawną.

Relacją z pierwszych lat chrześcijaństwa Renan porównywał do odtworzenia frontonu Parthenonu: ten co tę pracę przedsięwziął, musi pomagać sobie starożytnym tekstem, rysunkami z XVII wieku, przejściem się stylem tych cudnych gruzów... Tego rodzaju odbudowania nie można nazwać *odnalezieniem* rzeźby starożytnego kunsztownika, ale *zbliżeniem się* do niej o ile podobna, największym.

Rozdział zamykający ten tom drugi *Historyi Początków Chrześcijaństwa*, okres od śmierci Jezusa aż do wielkich misji św. Pawła (33—45) jest nader ważny. Renan mówi w nim o *przyszłości misji religijnych* i uważa je za wiekiistą pochodnię ludów. Religie powiada, te dzieła czysto ludowe, nie znikną jak znikły błędy ludowe, czary i upiory, bo nie są omyłką ale wielką prawdą przeczytą, dojrzaną i wyrażoną przez lud. Wszystkie symbole słu-

zące do nadania kształtu uczuciu religijnemu, są niezupełne, przeznaczeniem ich odpaść jedne po drugich; ale religia pozostanie. Nic mylniejszego jak marzenie niektórych osób pojmujących doskonałą ludzkość bez religii. Trzeba wierzyć odwrotnie. Chiny będące ludzkością niższego rzędu, nie mają prawie religii. Przypuściwszy przeciwnie, planetę zamieszkałą przez ludzkość z podwójnie silną jak ziemską potęgą umysłową, moralną i fizyczną, taka ludzkość byłaby przynajmniej dwa razy religijniejsza niż nasza. „Przynajmniej”—mówi Renan, gdyż być może, że zdolności religijne postąpiłyby prędzej niż zwiększenie zdolności umysłowej. Dalej przypuszcza nawet, że na tym stopniu wzniosłości, wolny od wielkiej troski materialnej, od wszelkiego samolubstwa, obdarzony taktem doskonałym i bosko-delikatnym gustem, widząc nizkość tego wszystkiego co nie jest prawdziwe, piękne i dobre, człowiek byłby wyłącznie religijny, pogrążony w adoracyi wiecznej, wpadający z zachwyty w zachwyty... żyjący w wiecznej szczęśliwości...

W istocie, samolubstwo dające miarę niższości istot, zmniejsza się w miarę jak się oddalają od zwierzęcia. Człowiek doskonały, nie byłby egoistą, byłby całkowicie religijny. Skutkiem postępu będzie tedy, jak twierdzi Renan rozprzestrzenienie religii, nie zaś zniesienie jej, albo pomniejszenie. To jest ostatnie słowo sławnego filologa francuzkiego.

Pod tytułem: „*Les Monastères benedictins d'Italie*” Alfons Dantier napisał w dwóch tomach obronę włoskich klasztorów. Mając sobie przed kilką laty poruczoną od rządu misję badania na miejscu epigrafii chrześcijańskiej i początków sztuki religijnej wieków średnich, Dantier długo zwiedzał nie tylko kościoły zaalpejskie, ale muzea, biblioteki i opactwa Benedyktynów, gdzie znalazł dzieła najznakomitsze i najciekawsze szczegóły.

Paroletnie śledztwo utwierdziło w autorze wrodzone sympatyje i natchnęło mu myśl podniesienia głosu w obronę tych instytucyj, obecnie na śmierć skazanych.

Nie dziwnego, że klasztory znajdują dziś jeszcze wielbicieli. Mnóstwo nawet nie dewotów młodych, marzy cza-

sami o klasztorńm zaciszu, gdzieby można w dobraném towarzystwie spokojnie uprawiać nauki i dyskutować wieczyste zagadnienia z dala od zwady na porządku dziennym będącej, zdala od jątrzących zawodów.

Przytułek taki o którym marzą dzisiejsi zmęczeni, nie musiałby oczywiście podlegać twardej regule, téj nikt poddać się nie chce, chociaż to jedyna prezerwatywa przeciw grasującej obecnie chorobie zwanéj rozstrzeleniem umysłu. Lekarstwo zawsze nie smaczne, więc precz z karnością! Nieco prywacy zniósłby każdy maruder świecki, byle nie zajmować się interesami które uważa za podrzędne, a mózdz *uduchownić* się wygodnie. Wśród powszechnego konfortu, takie prywacye mają nawet pewny powab, jak razowy chleb po obiedzie dla subtelnych smakoszy.... Nie przystaliby jednak na kodex trapistów: post i włosiennica nie kwadrują z duchem czasu!

Pożądane jest właśnie schronienie podobne do tych włoskich klasztorów, które widać z daleka wspaniale rozparte na wysokiej górze, opatrzone bogatym księgozbiorem, ozdobione freskami i rzeźbą, ocienione przyjemnie, pełne tarasów, z kądem oko buja po niezmiernym przestworze rajui ziemskiego, a po za mgłą niebieską lub rumieńcem jutrzeńki, spostrzega artystyczne kopuły wielkiego miasta.

Takie klasztory podobają się nie tylko panu Dantier.

Powie kto że nie ma klasztoru bez cnot chrześciańskich: zapewne. Ale samo odosobnienie broni od kilku grzechów głównych, a to już wiele; cnoty teologiczne pojmowane przynajmniej po ludzku, mniej trudno pełnić. Owo niezadowolenie chroniczne, które nas jeży jednych przeciw drugim i zmusza do zastępowania życzliwości grzesznością; owa głucha mizantropia dławiąca nadzieje, owe rozprawy kwaśne, gniewy umysłowe niszczące wiarę, wszystko to leczy się łatwo w ludziach uwolnionych od walki. Słodko żyć w malowniczym i zamożnym opactwie pod włoskim niebem! Jakież tam arcydzieła jest czas tworzyć i pieścić! Każdy kto nie czuje już odwagi do czynu, kto się przekonał ile wiednieje wyobraźnia, ile myśl wietrzeje skoro jest zmuszoną dostarczać codziennéj strawy maszynie, pewno nie raz wzdycha do takiego schronienia. Wzdychały doń po wszystkie czasy umysły kontemplacyjne.

Obrona benedyktyńskich klasztorów pięknie napisana, znalazła więc mnóstwo sympatycznych czytelników nawet w czynnym Paryżu: chórem przyświadczo no okolicznościom łagodzącym przytoczonym przez pana Dantier w obronie skazanego.

Jeżeli chodzi jedynie o ocalenie od zburzenia kilku szacownych pomników historycznych, o zachowanie kilku okazów monasterskiego bytu, któżby mógł mieć co przeciwko temu? Jest tylko jedna góra Cassino, i jeden klasztor la Cava na świecie. Wszystko przemawia: historia, sztuki, piękność położeń, ku zaskarbie niu klasztorom włoskim łaski o którą pan Dantier prosi, a benedyktyńskie najgodniejsze względów, bo tam od wieków ludzka myśl pracowała.

W krytycznej chwili klasztory te znalazły godnego siebie obrońcę. Pan Dantier pisarz szczerze katolicki, pozostaje w usposobieniu umysłu koniecznym do poczucia i wyłożenia drugim zasług klasztorów: przeznaczenia ich i powabu nikt lepiej opisać nie mógł. Dzieło jest uczone i ze sztuką dokonane: krajobrazy szczęśliwie przeplatają morały, a historia legiendy, ustępy artystyczne przychodzą w porę, żeby podtrzymywać uwagę obojętnych na religią czytelników. Książka tém więcćj warta, że chociaż smutna, nie jest ani zła ani kwaśna: autor nie potępia tegoczesnej społeczności; nie przeklina filozofii ani wolności, to nem umiarkowanym przemawia do rozsądku. Obrona więc jego pod każdym względem dobra.

Jednakże po jćj przeczytaniu, nabieramy przekonania że klasztory stracone! Szczerze skreślone ich dzieje dowodzą, że nic nie odwróci losu który je czeka. Stoją, ale są martwe; mogą jeszcze stać długo, ale prawo orzekujące ich zniesienie, stwierdziło tylko ruinę dokonaną i oszczędziło jćj goryczy upokarzającego konania po tak świetnej przeszłości.

Sam Dantier broni klasztorów z przekonania, ale bez nadziei. Widzi, że te monastery toczy jakaś niemoc wewnętrzna, a wycieńczanie ciągle rokuje im śmierć niechybną... Smutek jaki mu ich upadek sprawia, jego błagania władzy, wszystko to brzmi jak mowa pogrzebowa: braku wi wiary ten skon przypisuje, w czćm zdaniem naszym nie ma prawdy.

Śmiertelnej choroby klasztorów, które z tylu prześladowań wyszły zwycięzko, a teraz giną, nie można przypisać nikomu: brak wiary i filozofia są tylko pośrednimi przyczynami ich śmierci. Ginią, bo życie klasztorne już dziś niczemu nie odpowiada, bo cnoty ani żadnego dobra nie można już szukać po za społecznością, ale w jej łonie. Modlitwa, samotność, milczenie, może jeszcze wyrobia świętych, ale taka świętość jest zbytkiem, węgietacją pasożytną i jalową, przestarzałym strojem w teraźniejszym świecie. *Działanie* stało się warunkiem, z pod którego nie można się już wylamać, praca wszelaka prawem nie uniknionem, współzawodnictwo nakazane wszystkim: po za czynnością społeczną nie ma już cnoty płodnej, uznaniej, wielbioniej.

Dla tego to napróżno w pewnych chwilach zmęczenia chcielibyśmy uciec od świata do spokojnej nauki, do benedyktyńskiej ciszy... wyzwolić się od współzawodnictwa i niebezpieczeństw... próżno! Pragnienie takie grzeszne, dzisiaj przemija nie urzeczywistnione, bo czujemy że stan taki literata-rentiera, jest dezercją, jest samobójstwem.

Zbyteczna dowodzić, że stan mniszy nie ma już przyczyny bytu. Nie konanie jego nas dziwi, ale to że mógł trwać tak długo i nadać cechę swoją całemu okresowi dziejów. Dantier powtarza kilka razy, że życie klasztorne jest wysiłkiem ku urzeczywistnieniu doskonałości chrześcijańskiej. Szczęściem dla chrześcijaństwa, myli się zupełnie: źle byłoby gdyby miał słuszość. Na co się przyda w tej chwili moralność kilku ludzi samotnych i bezczynnych? Klostracya była utopią społeczną postawioną jako potępienie i wzór naprzeciw społeczności szarpanej bezrządem i gwałtami. W chwili kiedy dawna oświata topniała w potopie ciemnoty, kiedy ziemia należała do wściekłych namiętności, kiedy prawo i rozsądek zdawały się być z niej wyrugowane na zawsze, wielkoduszni zapaleńcy jak Benony i Romualdy, odosobnili się od społeczności z kilku uczniami, ażeby spokojnie pełnić cnotę zaparcia siebie, cnotę posłuszeństwa i stworzyć w chaosie ślepą wściekliwość, małe wzory społeczności doskonałej. Doskonałość wymarzona przez nich była tylko przeciwstawieniem złego, na które patrzyli. Nadmiarowi bezrządu klasztor przeciwstawił nad-

miar przepisów; nadużycie siły, przesadę posłuszeństwa, brutalnej władzy namiętności, nadużycia ascetyzmu. Nie zdolny walczyć z dziczą jej własną bronią, zadziwił ją, a czasem zwyciężał zrzeczeniem. Klost racya była rękawicą dzielnie rzuconą i utrzymaną dopóki świat wyzwany istniał.

Tego świata już nie ma. Społeczność jeszcze daleka od doskonałości, siła nie abdykowała, namiętności ludzkie jeszcze czasami wybuchają gwałtownie, ale duch wziął górę: siła która chwilami nad nim przemaga, już przymuszona po jego stronie stawać, żeby trwać mogła.

Pan Dantier w głębi duszy wszystko to czuje: „Jesteśmy, powiada, zrodzeni do czynu, do walki na otwartym polu, wszyscy razem nie pojedynczo.” Toż zupełne potwierdzenie tego cośmy wyżej powiedzieli. Jednak siła nalogu tak wielka, że chociaż ma pojęcia swojego czasu, Dantier wpada w *Chateaubrianizm*. Przez ten wyraz rozumiem miłość płacziwych okresów, częstą tęsknotę do rzeczy zarówno potępionych przez czas i rozsądek, wyciąganie nadużyć wieletniego świata, rozmyślanie nad kruchością tworów ludzkich, a sławienie cudów i zasług niezrównanych dawnego świata.

Powyższe nadużycia są trądem piśmiennictwa społecznego. Pan Dantier szczerzy i umiarkowany pisarz, nie zdołał ich uniknąć. Szkoda! Nieco mniej *Chateaubrianizmu* a dzieło jego byłoby doskonałe.

Znakomity professor estetyki w szkole sztuk pięknych, Taine, wydał pierwszy tom swojej podróży do Włoch: mówi o Neapolu i Rzymie. Przedmiot zdaje się wyczerpany, a zawsze nowy, nowszy niż kiedy. Cudzoziemcy już nie podróżują po Italii, ale po niej spacerują. Od Francji do Włoch tak blisko, że kto ma przed sobą swobodnych dni 15 a w kieszeni drugie tyle luidorów, zaraz przebywa Alpy i składa czołobitność arcydziełom sztuki i natury, które tak długo wielbił na wiarę. Podróż do Włoch nie jest już zbyt długi, ale potrzebą wykształconego umysłu. Prawie

każdy zwiedzał Italią, mimo to nie stała się oklepanką: piszą o niej i gadają coraz więcej.

To wyjątkowe zajęcie Italia zawdzięcza temu co się w niej widzi i temu czego się nie widzi, co mówi do zmysłów i co do pamięci przemawia. Tradycja ze wszystkich najwspanialsza, nieustannie obecna w umyśle po Alp przebyciu, usposabia wyobraźnię do szczerego uwielbienia. Natura i pomniki mimo opisów, zachowują świeżość i potęgę uroczystą, która wypełnia najobojętniejszą duszę wzruszeniem prawdziwem, wrażeniem mocnem. Dodajmy do tego wrażenia lud, który się miało za zgrzybiały, a który przeciwnie wśród pomników najwyrafinowańszej cywilizacji, zachował dziecięcą prostotę, wiarę, poezją młodzieńczą, której nie ma gdzieindziej, a pojmiemy dla czego każdy co do Włoch pojedzie, ma jeszcze o nich coś nowego do powiedzenia, a ci co o nich tysiąc książek przeczytali, chętnie biorą do ręki tysięczną pierwszą.

Tak niepospolity pisarz jak Taine, mówiąc o Italii, musiał wybitną oryginalnością swoją relacją naznaczyć, jakoż książka jego rzeczywiście stanąć może obok najuczeńszych. Autor pędzi bez wytechnienia przez gęsty las przerośni, w którym myśli biegają stadami, jako zwierzyna zegnana na królewskie łowy. Analiza nieubлагana rozczynia historią, rozbiera świętych i bohaterów, rozcina ich albo rozszrubowuje, jeżeli nie byli z jednej sztuki. Styl, wyobraźnia, są tylko przebraniem filozofa ścigającego z pomocą dwóch lub trzech zasad niezmiernych, demonstracją zawsze jednej teorii. Ciągłe, zbyt częste nateżenie myśli wiele szkodzi prawdzie sprawozdania z podróży po Włoszech.

Od podróżnika wymaga się dwóch rzeczy: żeby dobrze oddawał wrażenie, i żeby to wrażenie było zgodne z cechą kraju, bo inaczej nie sprawi wrażenia podróży czytelnikowi. Pan Taine oświadcza na wstępie, że jest tylko maszyną do odbierania wrażeń. Wierny przyrzeczeniu, zaledwie siadł do wagonu, zaczyna funkcyonować jak maszyna: chwytą w lot krajobrazy. Zaledwie wysiadł w mieście, bieży oglądać muzea i pomniki. Skoro go z muzeum wypędzą, wraca do hotelu obciążony spostrzeżeniami, jako pszczoła do ula obciążona miodem. Ażeby nic nie uronić ze zdo-

byczy, zaraz zapisuje i gatunkuje: wertuje historye, pamiętniki, opisy; gorączkową ręką przerzuca Villaniego, Machiavela i Ariosta. Jeżeli książki nie powiedziały wszystkiego, z rekomendacyjnymi listami śpieszy na wizyty i zmusza ludzi żeby gadali o tém co go obchodzi, bo przysiągł sobie że w ciągu dwóch miesięcy zobaczy dno tego ludu, pociśnie palcem jego sprężynę, zgadnie i wytłumaczy mechanizm, który go poruszał dawniej i teraz.

Pojąć łatwo jak silnej maszyny potrzeba do takiego rzemiosła, jak ona musi szybko brać i oddawać wrażenia. Maszyną funkcyonowała dobrze, ani słowa.

Ale to ciągle napięcie nerwów, ta gorączka poszukiwania które go pali, ten nawał wrażeń które odbiera, mogła-li dobrze oddać Italią? Italią tych którzy w niej szukali rozkoszy lub ukojenia, Italią, którą wszyscy znamy?

Nie! właściwy jej urok, ten który miała zawsze, nawet w chwilach największego upadku, który ma i dziś, mimo ruchu jaki tam panuje, jest dar kołysania, kojenia.... Jedźcie do Włoch wy wszyscy, którym się życie stargało, którzyście stracili równowagę. Istnienie tam tak łatwe, piękność tak ogólna, twarze tak uśmiechnięte, że spokój pewnie wam wróci, i harmonią wnet odzyskacie. Nie tylko szafir niebios i przepych wszech rzeczy, coś jeszcze mniej ujętnego a więcej przenikającego ogarnia tam i podbija ducha. Fałszem jest co często mówią, że w tej słonecznej krainie namiętności szarpia ludzi: bynajmniej. Umysły żywe, gesta jeszcze żywsze, telegrafują uczucia, ale dusze spokojne; krótko mówiąc, każdy Włoch szczęśliwy że go Bóg stworzył, i zaprawdę, ma się z czego cieszyć.

Trzeba być nadzwyczajnie zimnym sawantem, żeby się nie dać oswładnąć syrenowemu wpływowi Italii. Pana Taine pracowitość trzeźwa, ani na chwilę tam nie opuściła, nie poddał się wcale leniwiej kontemplacji świata Bożego. Ztąd poszło, że w książce jego nie czujemy Italii. Krajobrazy mniej wypracowane, byłyby szersze, mniej obosieczne oceny, sprawiedliwsze, język mniej gwałtowny oddałby wierniej pełną słodkiej powagi miejscowość. Za twardyto pędzel do malowania Italii. Pan Taine jeździł tam szukać argumentów do swoich doktryn, przedmiotu do lekcji... broń Boże nie po to, żeby piękność pić i drugich nią napoić.

Professor estetyki zbyt hałasuje w swęj książce; możnaby mu, powiedzieć jak *noc* Michała Anioła: „*Non destar mi deh parla basso.*”

Ludziom żywym te się tylko podróże podobają, które każą zazdrościć podróżnikowi. Zazdrości każdy autorce „*w Alpach i za Alpami*” wielkiego poczucia piękna tego, że o nauce zapomniała i w archeologią się wcale nie wdała; że żyje sercem, wyobraźnią, żyje powietrzem i obyczajem Italii. Zazdrości każdy żeglujący w weneckiej gondoli, pani Sand, która pięknoscią na wskrós przejęta, jak włoskie słońce jaśnieje i zapala czytelnika... wonią, kolorem tamtego świata przenika, daje spostrzedz czegośby mniej genialne nie dojrzało oko; zamykając od razu przeczytaną książkę, myślisz: ach! czemuż tam takiego nie miałem przewodnika!

Jako godniejsze profesora estetyki porównanie weźmy innego wędrowca, mędrca, poetę, Goëthego. Jego podróż po Włoszech jeszcze więcej udziela rajskiego zachwyty, niż podróże wyż wspomnianych niewiast.

Goethe znudzony dworską etykietą, urzędami, dostojenstwem i poważnemi rozprawami; rozdrażniony denerwującą skłonnością do kokietki; poczuwszy że poezya schnie w jego duszy przyciśniona nauką i miłością, co ciągle do niczego zbudza, z Carlsbadu uciekł do Włoch. Zamiast pić przepisane wody, zamiast przyjąć pomoc Lavatera, Goethe pomyślał sobie „że są skuteczniejsze leki w aptece Bożej” (jego wyrażenie) i pojechał do Italii.

Zaledwie stąpił na tę ziemię, urok działać zaczął: rozwiała się czarna melancholia, lody co jego geniusz ścięły, prysły odrazu: zaczął żyć. Sam opowiada swoje zmartwychwstanie. Największą piękność jego opowiadania dramatycznego, choć pełnego najczystszej pogody, stanowi właśnie to widome kształtowanie geniusza przez przyrodę, dostrzeganie, jak przez nią pokój, równowaga, płodność wnika do zamaconej duszy. Filozof, mędrzec, jak dziecko poddany matce-naturze, nie wydaje doraźnych wyroków. „Otwieram oczy, powiada, drukuje w duszy to co mnie otacza, ale nie sądzić nie chcę.... chociażbym chciał, to bym nie mógł.”

Goethe nigdy pod wpływem pierwszej niespodzianki nie orzeka: czeka cierpliwie aż cudem uderzony duch się uspokoi; wtedy mówić zaczyna: „Zdziwienie topnieje powoli w czystym i poufnym używaniu rzeczy. Żeby się przejąć myślą wielkich dzieł ludzkich, potrzeba przede wszystkim, żeby dusza do nich z zupełną przystępowała swobodą.” Czasami nauka jeszcze mu stawia zasadzki: spacerując na Lido, czyni odkrycia anatomiczne; w Sycylii kreśli teorię metamorfozy roślin; ale Włoch naukowo nie bada.

Zwolna, nowa równowaga, harmonia nie znana, zupełne poczucie ładu, poprawności, jakaś rewelacja rytmów naturalnych wszechświata, ukołwiony, zachwyciwszy, przeobraża geniusz Goethego. Cudowne odrodzenie jego pod włoskim niebem objawiło się wkrótce: *Iphigenia*, *Tasso*, *Rzymskie Elegie*, wyrosły z tegoż gruntu, z którego wyszedł *Werther* i *Goethe*, synowie nawałnicy.

Goethe nie próbuje nawet badać tajemnicy narodu, żadnych śledztw z krajowców nie ściąga; roznawia z pierwszym lepszym bez planu; gra w loteryjkę siedząc pomiędzy Medyolanką i Rzymianką, szczęśliwy, bo prawie w pierwszej zakochany. Żyje po prostu ich życiem; do opisów nie potrzebuje słowników ani przenośni. Od czasu do czasu jakiś obrazek wyjdzie z wzruszonej wyobraźni, jakiś szkic jedyny, ale rysujący się na zawsze. W chwili gdy ma opuszczać Rzym, idzie pożegnać pomnik ulubiony i w dziesięciu wierszach kreśli wiecznie trwałe wizerunek *Forum*.

Ale wróćmy do pana Taine. Rzeczywiście nie straciłszy go z oczu. To co się powiedziało, dowodzi, że kto chce poznać i wytłumaczyć Italię rozumem demonstracyjnym, nie czuł jej wcale. Inni, mniej uczeni a czulsi od pana Taine, skreślili wizerunki, w których ona daleko lepiej poznać siebie może. Ale żeby natura wsiąkla w duszę, potrzeba czasu, a Taine spieszył się swój kurs wykladać.

Oprócz *maszyny do odbierania wrażeń*, francuzki estetyk zabrał z sobą do Włoch drugą, o której nie wspomina, choć niemniej się nią posługiwał: jestto jego metoda sławna, do odkrywania przyczyn oznaczonych rzeczy ludzkich, owa formuła będąca czarodziejską różczką historyka,

mane thekel fares jednostkowych lub społecznych przeznaczeń, dekret skazujący ludy na wolność lub niewolę, centralizacją lub konfederacją, poczyą lub prozę, religijność lub zabobon, przemysłowość lub stagnację, czułość lub obojętność na zadania ludzkiego żywota. Tę teorią którą zowie „systematem szczepów, miejsca i chwili” Taine zabral wraz z podróżną lornetką. Trudno tym przyrządem kierować, ale kto umie, cuda czyni: jednostka staje się zupełnie niepotrzebną w państwie.

Wystudyowawszy tak zrozumiała sobie rasę Anglo-Saxońską, cierpliwą, skupioną, pracowitą, zamkniętą, pan Taine z jednakiego stanowiska patrzy i sądzi rasę zupełnie inną, artystyczną, nie równą, na zewnątrz wylaną i namiętą: sądzi ze stanowiska naukowego i racjonalnego.

Skoro jest w Pompei, zaraz z pomocą erudycy załudnia ulice, świątynie i amfiteatry: przed pomnikami stawia tłum, który był ich natchnieniem, wzorem. Skoro się spotka z Rafaelem albo Michałem Aniołem, odbudowuje Włocha z epoki odrodzenia. W wiekach rzymskich wskrzesza społeczność XVII wieku, wielki świat rozkiełznany, zepsute rodziny papieży.

Włoch dzisiejszy ma naturalnie osobne miejsce w Galeryi professorskiej: ustawy, niemińej uważnie zlustrował jak ludzi. Wchodzi do kościoła *Gésu*, więc natychmiast zaczyna anatomią zakonu Jezuitów; jest w Watykanie, więc czuje obowiązek wyluszczenia katolicyzmu. „Słowa, słowa, słowa” woła Hamlet: my powiemy teorye, teorye teorye... bez końca.

Pan Taine: obiecuje trwanie katolicyzmowi bez obrzędów i dogmatów. Tu widocznie, przeliczył się z pośpiechu. Taine zowie *žandarmeryą* co Montesquieu wykwinął nazywa *władzą powściągającą*, mniejsza o wyrażenia, ale nie mniejsza o rzecz, nie mniejsza o logikę. Obrzędy i dogmata są środkami repressyi, bronią téj potęgi: w dniu kiedy je utraci, nie wierni bitwę wygrają.

Z dzieła najłatwiej poznać człowieka; jednak, że Taine za swoją z góry obmyślaną teorią kroczy, nie zawadzi powiedzieć słów kilka o osobie tego profesora, który jest obecnie ulubieńcem francuzkiej młodzieży i jednym z pierwszych luminarzy paryżskich.

W powierzchowności Taine niema nic, coby zwracało uwagę: wyraz twarzy pogodny, cera blada, oczy zakryte blado-niebieskimi okularami; wąs i broda ciemno-blond zakrywając dolne obrysy, dodają nieruchomości jego twarzy. Na wysokiem czole bystry badacz dostrzeże jedynie śladów myśli. Wzięcie ma professorskie i zakonne razem: Paryżanie zwa go benedyktynem z powodu jego niezmordowanć do ślęczenia ochoty.

Wykłada bardzo przyjemnie: w miarę jak mówi, głos jego mocniej a oblicze się ożywia. Nic mu nie jest obojętne: ze specjalistami rozmawiając, ciągle notuje. Są dwa rodzaje ludzi: promieniejący i absorbujący: z pierwszych myśl jak z rezerwoaru płynie, drudzy pompują nieustannie... Taine należy do pompujących: świat dlań jest teatrem, gdzie aktorowie dają przedstawienie na jego benefis.

Jak z powyższej analizy jego dzieła przekonać się można, Taine posuwa myśl jedną aż do paradoxu. Dla niego geniusz człowieka ma skład zegaru: szuka jego głównej sprężyny, która skazówki porusza, a której bieg bada powszechność nie znając tajemnicy mechanizmu. Każde spostrzeżenie nowe uważa za sztuczkę zegarmistrzowską, której miejsce naznacza w jakiejs kombinacji.

Taine jest człowiekiem swojego czasu: rozbiera i rachuje. Dla tego ma uznanie młodzieży. Jego nadzwyczajne znaki zewnętrzne: nigdy się nie zapala i niema orderu.

Kurs estetyki p. Taine w szkole sztuk pięknych, jest wykładem modnym, uczęszczanym przez ludzi światowych i wszelkiego rodzaju dyletantów. Ostatnia lekcya tego półroczna odbyła się temi dniami. Professor wykładał malarstwo wołoskie, które podzielił na trzy fazy: mistyczną, naturalną i pogańską. Rafael, zdaniem jego, przeszedł przez te trzy okresy. Spadkobierca Rafaela Juliusz Rzymianin przesadził uczucie pogańskie i naturalistowskie mistrza swojego. Taine twierdzi, że nimfy i boginie Rzymianina, są prawdziwe transtewerańskie herody (viragos) narysowane zmysłowo, wedle mitologii." Energiczne rozpasanie cechuje jego *Historję Olbrzymów* w mantueńskim pałacu T. *Prace Herkulesa*, *Biesiada Bogów* i *Każnia Gla-*

diatorów, są mianowicie godnymi widzenia okazami *furyi* tego *zapamiętłego* artysty. Z równą werwą illustrował on sonety Aretiena. Jedyne cały egzemplarz tego wydania, Francuzi znaleźli w Meksyku podczas teraźniejszego zajęcia.

Na ostatniej lekcji p. Taine czytał sonety Michała Anioła, tłumaczone wierszem przez senatora Siméon, oraz listy Rafaela do wuja, pełne praktycznego rozsądku, takie jakie uczciwy wyrobnik pisać może do rodziny. W dalszym ciągu, professor, związek Rafaela z Fornariną sprowadził do rzeczywistych rozmiarów: dowodził dokumentnie, że nie było tam żadnej namiętności szalonej, że Fornarina była poprostu dla malarza z Urbinu wzorem *dostatniej* piękności i przyjemną gospodynią, której miłość ani na krok nie posunęła go ku grobowi. W końcu skreślił geniusz Rafaela w trzech słowach: „La Perfection dans la mesure.”

Professor literatury zagranicznej paryżkiego wydziału literackiego, p. Mézières, tenże sam którego uniwersytet paryżki wysłał jako reprezentanta swojego na dantejski jubileusz do Florencyi, wydał drugą edycję swojego trzech-tomowego dzieła p. t. „*Predecesseurs et contemporains de Shakespeare. Shakespeare, ses oeuvres et ses critiques.*”

Mówiliśmy na tém miejscu, o tém dziele skoro się pojawiło w marcu 1864 roku. Przeglądając nowe wydanie, widzimy, że autor zmienił nieco swoją ocenę i wiele nowych kart dodał w odpowiedzi na artykuły, które o Szekspirze p. Montégut ogłosił w początku 1865 roku. Ponieważ kwestya oceny wielkiego dramaturga dotąd nie wyczerpana (choć właśnie temu lat *dwieście pięćdziesiąt* jak umarł) ponieważ wznowioną została przez najpierwszych krytyków Francyi, więc i nam o niej jeszcze kilka słów powiedzieć wypada.

Dotąd dwojaki był rodzaj studyowania Szekspira: albo panegiryki które nie uczyły wiele; albo komentarze, użyteczne zapewne, ale nie wystarczające poetycznej wyobraźni. Pożądana była książka pośrednicząca pomiędzy suchością dat, a chwalbą niewymotywowaną.

Taką książkę napisał Mézières. Jestto najlepsze dzieło o Szekspirze dla ludzi światowych nie lubiących zbyt głębokich dyssekcij, ani zbyt płytkich ocen. Mézières z francuzkim gustem odmalował postać Szekspira pośród jego okolenia ludzi którzy go poprzedzili i tych co po nim przyszl; postawił obok niego i wzory które naśladował, o ile geniusz naśladować może, i wpływ jaki wywarł, całość warunków literackich i społecznych, w których się pojawił, i pośród których widzieć go trzeba, chcąc go dobrze zrozumieć.

Obojętność Szekspira dla dzieł własnych była wielka, czem nie tylko od współczesnych ale i od dzisiejszych autorów się różni. Za jego życia, drukował kto chciał i jak chciał, jego sztuki; wydawano nawet pod jego nazwiskiem dramaty, o których nie słyszał. Szekspir nie bronił tych publikacyj, nie zwracał na nie uwagi: nie chodziło mu o to, żeby myśl jego nie skrzywiona przedstawiała się potomności. Dopiero w lat siedm po jego śmierci (1623) wyszedł zbiór jego dzieł dramatycznych, niby drukowany z oryginału, a rzeczywiście pełen błędów i niedokładności wszelakich.

Z tego powodu studyowanie Szekspira nader trudnem się stało: nie ma poprawnego tekstu, w jednym tak napisa-no, a w drugim inaczej. Bywają okresy zupełnie sprzeczne, tak jak się zdarza u autorów greckich lub łacińskich. Szekspir sam czasami trzy razy jedną sztukę pisał, a za każdym razem inaczej, jak *Hamleta* i *Romea*.

Ta okoliczność poniekąd usprawiedliwia krytyków, że sobie przez dwieście pięćdziesiąt lat o Szekspirze pewnego zdania nie wyrobili. Sztuki jego każdy wyklada inaczej. Zaledwie chronologia teatru Szekspira ustalona.

Rozpoczął on swój zawód od przerabiania dla sceny sztuk przed nim napisanych przez nieznanomych autorów. Do rzędu tych utworów należy *Tytus andronikus* *Perykles* i trzy części *Henryka VI*. Powyższe sztuki nie całkiem do Szekspira należą, ale nie można oznaczyć w jakiej części był ich współpracownikiem.

Drugi okres dramatycznego zawodu Szekspira, zaczyna się około 1594 roku, kiedy miał lat trzydzieści. Wtedy napisał sztuki z dziejów Anglii wysnute i część swoich ko-

medyj. Ostatni jego okres, od 1600 roku, do śmierci. W ciągu tego czasu napisał najznakomitsze dramaty: *Hamleta*, *Otello*, *Lira i Makbeta*, tragedye Rzymskie i prześliczne komedye romansowe *Cymbelinę*, *Powieści zimowe*, i *Burzę*.

Krytycy zgadzają się na to, że Szekspir nie przestał pisać dla teatru, nawet kiedy opuścił Londyn i przeniósł się do Stratford; mówią że *Burza* jest jego ostatniem dziełem, niejako pożegnaniem sztuki, którą tak bogato uposażył.

Biorąc tę przenośnię dosłownie, niektórzy utrzymują że *Burza* jest pożegnaniem publiczności, epilogiem dzieła i życia Szekspira. Tak twierdzi pan Montégout. Mésieurs mu przeczy.

Sprzecznosci zwykłe w przedmiocie Szekspira. Każdy krytyk ciągnie go do siebie i znajduje w nim co chce. Gervinus zrobił z niego moralistę, jedynie zajętego dawaniem lekcyj społeczności. Ocena krzycząco fałszywa, bo żaden geniusz nie był od Szekspira obojętniejszy na wszystko co nie było sztuką. Toż Szekspir sam powiada, że dla niego dramat jest poprostu zwierciadłem postawioném przed naturą: w tém zwierciadle ona się z rozmaitych stron odbija. *Nieosobistość* teatru Szekspira tak wielka, że nie można zeń wyciągnąć żadnego wniosku o jego pojęciach, namiętnościach lub zasadach.

Jeżeli Gervinus przeoczył tę cechę główną dzieł Szekspira, cóż dziwić się p. Rio, który w nim widzi same alluzye do wypadków społecznych i osobistego położenia autora. P. Rio dowodzi, że Szekspir był katolikiem zmuszonym wiarę swoją ukrywać, wynagradzał to sobie weiskając na scenę prawowierne alluzye. *Juliusz Cezar* staje się tym sposobem pochwałą spisku d'Essexu; *Wet za Wet* sławi ascetyzm i dziewiczość klasztorną. Szkoda że Rio nie tłumaczy, jakim sposobem taki Ortodoxus jak Szekspir może w *Romeo* mówić o „*mszy wieczornéj*”?

Inni krytycy dowodzili że westalka, o której wspomina Oberon w *Śnie nocy letniéj*, nie jest kim innym, jeno królową Elżbietą, jakby wyraźnie nie pokazywało się w dalszym ciągu, że o Febe chodzi.

Hipoteza pana Montégout nie jest silniejszą od powyższych: nie wytrzymuje rozbioru: o poczucie literackie i o fakta się rozбивa. Szekspir, wedle niego, *Burzę* żegna

publiczność. Więc opuszcza teatr? Jakże, kiedy już od lat ośmiu siedział w Stratfordzie kiedy *Burzę* napisał. Nie chciał już więcej pisać bojąc się że nie równie wielkiego nie stworzy. Jakto? miał się bać tego w pełni życia, licząc lat czterdzieści ośm? nie starszy był, tworząc to arcydzieło.

Mézière słuszniej ocenia geniusz Szekspira. Wskazując w czém jego prawdziwa wielkość, nie podziela ani systematycznój troski niewielkich krytyków, ani przesadzonego uwielbienia krytyki angielskiej. Zdaniem jego, to stanowi wielkość Szekspira, że celuje zarówno w każdój części swojój sztuki: w sztuce pisania, sztuce kreślenia charakterów i wymysłach dramatycznych. Nikt lepiej od niego nie umiał zbudować sztuki teatralnój. Zajęcie zaczyna się w pierwszój scenie i już nie słabnie. Nie dla tego żeby akcja była zawsze jednaka: *król Jan* jest kroniką; w *królu Lirze* jest dwie sztuki: historia króla i Edgara: Ale szybkość z jaką się rozwijają wypadki, porywa... ztąd efekt sceniczny.

Z powodu trudności plastycznych, sztuki Szekspira są skazane na coraz radsze przedstawianie, ale dla tego potęga dramatyczna jaką rozwinął, nie zginie.

Nie ma dramatu bez akcji, nie ma go także bez charakterów: tworzenie ich jest nawet najwyższą częścią sztuki. Nic podobniejszego do twórczości bożej, jak ta moc wywoływania z głębi swojego jestestwa osób, które nigdy nie żyły, ale które odtąd żyć będą, wrosną w umysły, w serca, w rzeczywistość, jakby je stworzył Bóg. Jeden twór taki wystarczy do uniesmiertelnienia autora. Szekspir ich natworzył stami, żywych, najrzeczywistszych i najpoetyczniejszych.

Po tym znaku poznać wielkość angielskiego dramaturga. To czarodziej, który ożywi czego dotknie, a raczej to sama natura, kapryśna, szczodra, zawsze nowa, pełna niespodzianek i głębokości. Nikt tam nie jest bohaterem, bo nikt nie pozuje, nie ma abstrakcyi. Myśl się wiąże i rozwija wraz z logiką namietności i pasmem życia.

Mézières zarzuca jedynie Szekspirowi przesadę w stylu. O Koriolanie powiada Meneniusz: „Tak gorzkie ma oblicze, żeby od niego dojrzale winogrona skwaśniały; pod stopami jego ziemia się trzęsie; wzrokiem zbroję przebiję; ażeby Bo-

giem był, nie potrzeba mu nic prócz wieczności i niebios." Pani Stael podobne miejsce nazwała *uniesieniem talentu*; Mézières zowie je wadą stylu. Ona pono, nie on ma słuszość. Uniesieniem to jest, bo kiedy chce, Szekspir oddaje w wykończonój formie wszystkie odcienia czucia i mądrość najwyższą. Szekspir powiększył państwo ducha: prawdopodobnie żaden z ludzi więcej nie dodał do wspólnego mienia ludzkości.

Leon Cahun członek *Paryżkiego Towarzystwa Geograficznego*, wyda wkrótce dzieło pożyteczne pod tytułem: „*Geografia w XIX wieku*.” Będzie to jedna z lepszych książek, jakie napisali Francuzi celujący w sztuce rozpowszechniania nauki.

Autor wyłuszcza najpierw ważność geografii. Zdaniem jego, jest ona węzłem wiążącym pracę i potrzeby ludów cywilizowanych, z produkcją i potrzebami narodów barbarzyńskich. Węzeł ten jest dwoisty: zarazem idealny i pozytywny. Geografia zajmuje się z jednój strony ziemią i jęj produkcją, z drugiej ziemią i jęj naturalnymi płodami. Tym sposobem obejmuje grunt, to co z niego wychodzi, i ludzi którzy z niego żyją; od mappy, przez badania handlowe, dochodzi do składu ludzkości, rozbioru jęj pracy i klasyfikacyi jęj myśli. Wtedy dopiero jest zupełną: geografia praktyczna poznajamia z ziemią i jęj płodami; filozoficzna bada ludzi i ich pracę, jest przedstawieniem gruntu na którym myśl ludzka się wyrabia, polem wojny wydanęj ciemnocie przez cywilizację.

Pierwsze karty książki pana Cahun, które mamy w ręku, ten właśnie *plac boju* przedstawiają; w dalszych rozdziałach idących trop w trop za podbojem, będą raporta kreślone przez wodzów ostatnich wypraw geograficznych.

Pole bitwy z każdym dniem staje się obszerniejsze w miarę jak się mnożą przekopy i przybywają nowe drogi. Zostawiając Amerykanom ich półkulę na której czynnie gospodarują, autor zajmuje się zadaniem Europejczyków, czynnością jaka im przypada w Afryce, Azji i Australii. Każda z tych części świata ma swoją cechę odrębną, właściwe sobie niebezpieczeństwa i rodzaj pracy. Ażeby uor-

ganizować ich zwiedzenie i wyzyskiwanie, trzeba było najpierw zrobić ogólny rekonesans, obaczyć jakimi drogami dojść można w środek, jak zmówić się z krajowcami, jak do ich głowy i bogactw trafić.

W Azji rzecz była łatwa. Azja powszechnie znana, na jałowém łonie posiada i oazy: Indye i półwysep Kochinchinowski, dwie pierworzędne produktorki kuli ziemskiej. W Każdej stronie Azji inna robota. W Chinach, powiada Cahun, trzeba nam być kupcami, bo tylko Chiny umieją produkować; Indyom i Kochinchinie potrzeba administratorów; Syberyi osadników. Ludy azyatyckie pojętne i odważne, może same zdobędą oświatę i nie trzeba będzie jej im narzucać.

Z Afryką ciężka sprawa. Drogi wiodące do środka, zaledwie teraz odkryto. Tam człek biały żyć nie może. Dotąd praca Europejczyków ograniczyła się w Afryce na tem, że zabronili mieszkańcom pustyni sprzedawać ludzi pojmanych na żyzném wybrzeżu, a skłonili ich do sprzedawania produktów swój ziemi, spławianych do morza rzekami na statkach dostarczanych przez Europejczyków.

Australia, jak Ameryka była pustynią przebieganą grupami koczującej ludności. Tam na wybrzeżach, gdzie Europejczyk żyć i kwitnąć może, potworzyły się osady, pobudowano miasta. Tu zadaniem było rozdać pracowitym żyzne grunta, zaludniać co zaludnione być może. Szybko zagnieździł się Europejczyk na australskiej ziemi: grunt więc wdzięczny a robotnicy bogaci doświadczeniem nabytém przez Mongo-Parków, Vogelów i innych walecznych podróżników, którzy ze znoju pomarli. Australia cywilizuje się i zaludnia z cudowną szybkością.

Taki jest stan ogólny kwestyi geograficznej: co dzień ona czyni krok na przód. Krok ten stawiają Europejczycy, więc go znać powinni; powinni śledzić odkrycia nowej ziemi, płodów nowych, nie spuszczać z oka przenosin moralnego centrum świata. Powszechność europejska powinna myślał maszerować z geografami, tą przednią strażą postępu, która rozpoznaje nasz glob, spisuje inwentarz ludzkiej rodziny, oblicza wspólne mienie, a pochodnię Chrystusowego światła niesie z narażeniem życia w najczarniejsze zakątki kuli ziemskiej.

„*Geografia XIX wieku*” pana Cahun mająca rosnąć w miarę rozszerzania się ludzkiej wiedzy w tym kierunku, pomieści także nową martyrologią apostołów nauki. Dotąd najwięcej Anglików i Niemców naginęło w piaskach lub trzcinie ziem nieznanych. Anglia w tych wycieczkach naukowych pierwsze zajmuje miejsce.

Droga przez Saharę i Sudan, przebyta została przez karawanę doktora Bartha, Niemca i jego towarzyszy Anglików. Barth nie powstrzymany straszidłami pustyni ani śmiercią swoich towarzyszy, przybył z Tripoli do Tombuktu. Przywiózł z sobą do Anglii dwóch uczonych Węgrów Abbega i Dorugu, którzy na język Tombuktu przetłumaczyli biblią z porady pastora Niemca, misyjonarza przybyłego do Afryki zachodniej.

Bassen Nigru odkryty przez doktora Szkota Mungo-Park'a, opisał świeżo podróżny Anglik Clapperton i doktor negr, Samuel Crowter, obecnie biskup protestancki Gwinei angielskiej.

Dwaj Francuzi Réne Caille i Jules Gerard, przebiegli też same strefy dzięki środkom dostarczonym przez Anglików.

Wielkie jeziora Afryki wschodniej odkryte przez niemieckich pastorów Krapf'a i Rebmann'a, ostatnimi czasy zwiedzali kapitanowie angielscy Speke, Grand i Burton.

Dotąd najszcześniejszy z podróżujących tam Europejczyków jest pastor szkół Livingstone: od lat dwudziestu pięciu przebiega on środkową Afrykę celem zastąpienia rolnictwem haniebnego polowania na niewolników. Człowiek ten zręczny, sympatyczny i odważny, wywiera na dzieć wpływ jakiś magnetyczny. Skoro spojrzy, skoro przemówi, wodzowie hord chętnie mu się poddają. Dzięki to tylko swój wyjątkowej naturze i władzy nadludzkiej, Livingstone mógł przebyć Afrykę od morza do morza i tak bezkarnie gościć w tej ziemi, gdzie klimat i ludzie sprzysięgają się na przybysza. Livingstone ogłosił teraz nowy tom swoich podróży. Człowiek ten ma władzę podobną owym właścicielom menażeryi, którzy nie tylko umieją opanować dziką bestyą, ale jeszcze przez długie lata z nią obcować. Że Livingstone jest wyjątkiem, dowodzą setki wymarłych

i wymordowanych Europejczyków, którzy w też samą puścili się drogę.

Podróżny Francuz p. Chaillu, który ledwie z duszą powrócił ze środkowej Afryki, czytał w tych dniach swój dziennik podróży *Towarzystwu Geograficznemu* w Paryżu na doroczném walném zgromadzeniu. Hrabina Dora d'Istria została członkiem tego towarzystwa na miejscu zmarłej Idy Pfeiffer.

Towarzystwo Paryzkie jest najdawniejsze z wszystkich: założył je w 1821 roku Malte-Brun. Od tak dawna uczonne to grono przyjęło tylko dwie cudzoziemki. Pani Dora d'Istria nie objechała całego świata jak jej sławna poprzedniczka, nie pisała o wszystkich stronach globu, ale wydała parę niepospolitych książek: jej *Szwajcarya niemiecka*, *kobiety wschodnie*, *wycieczka do Rumelii*, *Morei i Wenecyi*, liczą się do znakomitszych relacyi z podróży. Wielki medal złoty, *nagrodę za najważniejsze geograficzne odkrycia*, Towarzystwo ofiarowało tego roku panu Gifford Palgrave za odbycie niebezpiecznej podróży w Arabii. Teodor Henglin otrzymał medal srebrny za zwiedzenie okolic źródeł Nilu i kraju Niam-Niamów.

— W tych dniach wyjdzie z pod prasy ostatni tom „*Historyi Francuskiej*” Micheleta, pod tytułem „*Ludwik XV.*” Tom ten wiąże starą Francją z nową, stanowi przejście od historyi monarchii, do dziejów rewolucyi. Jest to więc klucz sklepienia pomnikowego i oryginalnego dzieła, któremu Michelet większą połowę życia swojego poświęcił.

— Pan Laverdant wydał studia *Don Juana*, zakończonem nowem pojęciem tego nieśmiertelnego typu. Autor bierze Don Juana w chwili, kiedy go Komandor na wieczną spycha kaźnią w piekielne otchłanie. Podstępem wtrąconego do grobu i tam żywcem zamurowanego, Krzysztof Kolumb wydobywa znówu na świat. Rozzuchwalony Don Juan coraz bezbożniejszy, dostaje się w ręce inkwizycyi świętej; ta torturami złamać go nie może. Jeden tylko człowiek imponuje Juanowi: Kolumb. Z nim odpływa na poszukiwanie nowego świata. Wśród niezmierności strasznej, w odosobnieniu i walce z żywiołami, rozpustnik się

przeobraża. Don Juan *nawrócony* przybija do Nowej Ziemi. A kiedy skruszonego Kolumb pyta, czy wierzy w Boga? odpowiada: „wierzę! Czulem go na sercu moich kochanek, widzę go na twojem czole.” Sztuka piękna co się zowie; chociaż nie dla sceny była pisana, wkrótce pewnie się na niej ukaże.

— Figuier rozpoczął nową publikacją naukową pod tytułem „*Cuda Nauki*.” Jestto zbiór wiadomości o nowych wynalazkach i postępie nauki, pośredniczący pomiędzy elementarnym sprawozdaniem dziennikarskich odcinków, a książkami specjalnemi. Wyszły już dwa poszyty z których o całości dobrze wróżyć można.

— W drukarni cesarskiej ukończono druk książki niezmiernie ważnej, pod napisem: „*Code commercial des signaux maritimes à l'usage des bâtimens de toutes les Nations*.” Jestto grammatyka nowego języka powszechnego który na wodzie powiąże wszystkie ludy. Język ten figuralny nakształt chińskiego, albo hieroglifów, układała kommissya francuzka wraz z angielską, po części z dawnych kodexów morskich, których używano aż pięć rozmaitych. Znaczenie wyrazów albo okresów, jest przetłumaczone na wszystkie nowożytne języki; każdy więc kapitan okrętu, nabywszy sobie swój słownik, będzie się mógł z każdym okrętem rozmówić z łatwością. *Kodex* wyszedł jednocześnie w Paryżu i Londynie. Kilka mocarstw morskich już chęć przyjęcia języka powszechnego w swęj marynarce oświadczyło. Marynarka kupiecka Francyi i Anglii przyjęła go dobrowolnie. Inicyatywę do tego ważnego dzieła, dał Napoleon III.

